

The background of the cover features a stylized illustration. In the center, a woman with long, dark, flowing hair is depicted from the waist up. She is wearing a dark, possibly black, dress or top. Her expression is neutral as she looks directly at the viewer. Behind her, the upper torso and arms of a man in a dark suit and tie are visible, his hands raised behind her head. The entire scene is set against a deep red background. At the bottom, there are faint, dark silhouettes of city buildings.

TYLKO MI OKNA

ZOSTAWCIE

OTWARTE

POTU

PAULINA CZERNEK-PASIERBEK

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione.

Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz wydawca dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawca nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Ilustracja na okładce: Zofia @osiatek Lange

Redakcja: Dominika Bronk Polonistyczna Krucjata

Korekta: Elżbieta Lipowska

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

WWW: *wydawnictwospoty.pl*

ISBN: 978-83-289-2881-7

Copyright © Paulina Czernek-Pasierbek 2026

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

I

„Są takie oczy, nie pozna pan po nich, że płakały.
Wystarczy je otrzeć. A są takie, że płacz długo w nich
stoi, nawet gdy dawno płakały”.

Wiesław Myśliwski, *Traktat o łuskaniu fasoli*

PROLOG

Światy, które rozjeżdżają się w przeciwnych kierunkach

Kwiecień 1939

Karolina

Dym papierosów rozplýwał się leniwie w ciemnej sali kawiarnianej, a stłoczonych w niej studentów kołysał głos Eugeniusza Bodo. Karolina opierała się o fotel i od kilku minut nie spuszczała z Marie oka. Zdawało jej się, że przyjaciółka ma w sobie teraz mniej życia niż krwawa pomadka odbita na porcelanowej filiżance.

Marianna była trudna. Przytłaczała czymś, co przypominało lepką smołę. Karolina nie znała nikogo podobnego. Nikogo, kto umie tak ciągle tkwić w głuszy. Nikogo, kto będąc tuż obok, nagle przepada, znika. Przy niej wszystko wydawało się ciche, jakby zdychało. Nudne tą nudą jesienno-wieczoru pachnącego goździkami. Po Mariannie nigdy niczego nie można się było spodziewać. Ona miała duszę gotową do konania. Odwracała ciągle od wszystkich opustoszałe oczy. Karolinę trawił żal niesprawiedliwości za tę cichość, w której się tłukły wieczne echa niedopowiedzeń.

– O Matko Przenajświętsza! – Karolinie przechyliła się szklanka z herbatą. Ledwo zdążyła złapać egzemplarz swoich liryków. Marianna uniosła powieki. Zgasila papierosa i z rezygnacją wobec własnego roztargnienia spojrziała na znów wystygłą kawę. – Marianko, spójrz, ale dyskretnie, w stronę czwartego stolika przy barze. Tego wiecznie pustego.

Przez płataninę wrzawy wesołych studenckich rozmów, tumany dymu z cygar, ochryple pożądaniem szepty zwiastujące namiętność nocy przepychali się dwaj mężczyźni w eleganckich płaszczach. Jeden z nich miał na głowie szykowny kapelusik, a na nosie charakterystyczne okulary.

Drugiemu tlił się papieros wetknięty między zęby, a zza kołnierza płaszcza wymykało się niepokornie spore, ciemne znamię na lewym policzku.

Marianna pobladła.

*

1938

Marianna

Unosi zaskoczona głowę. Rozgląda się po sali. Nic. Cisza. Skupione oczy. Zręczne dłonie kreślące rzędy równych liter.

Naprawdę nikt? Nikt nie zamierza protestować? Co za absurd!

Podnosi więc rękę. Robi jej się ciepłej. Jak za każdym razem.

Staniszewski zawiesza głos i łapie spojrzeniem jej wzniesioną dłoń. Unosi odrobinę brew i się uśmiecha. Już wie, co go czeka. Gotów na słowną potyczkę. Uwielbiają je. I on. I ona. Nie mija chwila. Wszyscy wbijają w nią wzrok – ciężki i gesty jak wrześnieiowa mgła. Marianna ma to gdzieś.

– Pani Roszkowska... – Staniszewski kieruje nieznacznie brodę w jej stronę i przymyka tom tak, by jego palec ciągle wstrzymywał się na wierszu, który akurat omawiają, choć wie, że to nie ma sensu. – Czym mnie pani tym razem zaskoczy?

– Chciałam powiedzieć, że oczywiście nie ulega wątpliwości, że mamy tu do czynienia z pewną wtórnością i powieleniem form, ale absolutnie nie uważam, żeby cokolwiek w Karmazynowym poemacie było banalem. Raczej... – Czuje na sobie wzrok Karoliny. Kątem oka widzi jej uniesione w zdziwieniu brwi. – ...Jest raczej pewnego rodzaju grą z formą. Nie widzę w tym trywialności.

– Nie? – Staniszewski oczywiście zatrzaskuje tom na dobre. Przygląda jej się zachłannie, prowokacyjnie. Nie powinien. Czują to. I on. I ona. Mariannie po kręgosłupie biegnie ciepły dreszcz. Czy głupio zrobiła, że się odezwiała? Przy nim brakuje jej pewności. Wiedzą to. I on. I ona. – Może pani rozwinie myśl? – Mężczyzna nie ma w zwyczaju dyskutować z nikim poza Marianną. Jakby reszta była na to za głupia. Jest młody. Ci są zawsze najgorsi.

– Tak jak pan wspomniał, profesorze, mamy tu do czynienia z liczną i bardzo oczywistą metaforą, która może zakrawać o pewną banalność, ale nie sądzę, żeby miało to w sobie cokolwiek z naiwności czy poetyckiego braku umiejętności. Od razu widać, że poeta wiesza te wszystkie ozdobniki specjalnie. Nie ma być oryginalnie. Ma być wręcz kiczowato. No i przecież Lechoń co rusz łamie

jakiś tabu, jakiś wzorzec. Choćby ten Słowacki przepalający dłońmi książki? Co w tym banalnego? Czy to nie plucie w twarz całej romantycznej tradycji? Skradnę wam, co sobie z dumą przywłaszczyliście. Zdeprawuję to na własną modłę, taką, jaka w sercu mi gra. To nie jest banalne. To odważne. Co więcej, nie mam pewności, czy Lechoń bardziej romantyków kocha, czy nienawidzi. W zasadzie nawet ja sama nie wiem, co wobec nich w tej sytuacji czuć. Lechoń mnie... rozprasza. I to właśnie rozproszenie mi się szalenie podoba – ciągnie dynamicznie na jednym oddechu.

Staniszewski opiera się o katedrę. Słucha jej z uwagą. Jakby porządkował sobie jej słowa niczym układankę. Po twarzy błąka mu się coś chciwego, spragnionego.

– Więc dobrze jest się stroić w zatęchłe romantyczne czamary i usilnie udawać, że to nadal bardzo modne, choć już się od nich cuchnie? – pyta wreszcie. Po sali toczy się śmiech, który jednak oboje ignorują. I on. I ona. Bo Marianie wszystko jedno. Reszta mogłaby teraz nie istnieć. Wiedzą to. I on. I ona.

– Cóż, jeżeli ktoś wygląda w nich tak dobrze, że aż trudno oderwać oczy i złapać oddech, to czemu nie? – Marianna unosi lekko brew zaskoczona własną bezczelnością.

– Wistocie, Roszkowska. Czemu nie...? – Profesor się uśmiecha. Pełźnie po niej wzrokiem, chociaż nie powinien. I Marianna jest pewna, że to ona nie może teraz oderwać oczu i złapać oddechu. On wygląda tak samo. Jest zachwycony.

*

Marianna

– On podobno od miesiący nie opuszcza domu! – Marianna czuła, jak ciepło uderza jej do głowy.

– Przecież widzisz! – Karusia machnęła ręką.

– Podejdzimy? – Załomotało jej serce. I było to dziwnie obce. Bo serce Marianny od miesiący, od lat... jakoś dziwnie zapominało, że powinno coś czuć. Że powinno się jakoś może czasem ruszyć. Że wszyscy czekają.

– Zglupiałaś?! I jak sobie to wyobrażasz? Podejdiesz to nich, uklonisz się i co? „Dzień dobry, kocham panów wiersze”?! – jęknęła i złapała Mariannę za nadgarstek.

– Nie wiem. Ale będę mogła opowiedzieć potomnym, że rozmawiałam ze skamandrytami!

– Marianka, stój! Przecież... – stęknęła Karolina. Za późno. Marie już przeciskała się przez tłum.

A pieprzyć to! Przecież chyba nie uciekną, prawda?

Stała w strategicznie przyzwolonej odległości. Mężczyźni spojrzeli na nią pytająco. Serce Marianny drżało jak niepewny, początkujący łyżwiarz na cieniutkiej warstwie lodu. Zamiast na nich spojrzała na srebrną papierošnicę, martini i teczkę z poszarpanymi papierami leżącą na stoliku.

– Możemy jakoś pomóc? – zapytał wreszcie rozbawiony Jan Lechoń. Jego głos był niski, niezbyt dźwięczny, chropowaty jak dźwięk igły sunącej po wysłużonej płycie gramofonowej. Drugi poeta zerknął na nią w niemym oczekiwaniu przypominającym wyzwanie.

– Panowie mi wybaczą... – wymamrotała i ledwie przełknęła ślinę. – Gdybym tu nie podeszła, do końca moich nędznych dni karałabym się w myślach, że nie wystarczyło mi odwagi, by obcować z legendami. Bo ja... No cóż. Jestem wielbicielką, można powiedzieć.

– Ach! Więc pani przyszła oglądać upadające gwiazdy niczym muzealne artefakty, Julku! – Lechoń uśmiechnął się wesoło do przyjaciela i upił sowity łyk martini. – Z perełkami w dłoniach ku zanęcie? – Rzucił okiem na książeczkę, której z wrażenia nie pozostawiła na swoim stoliku.

– „Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada, w oczy zagląda wam i głośno gada, dusza w ten czas daleka, ach daleka! Błąka się i narzeka, ach narzeka”¹ – zadeklamował Tuwim, patrząc z żalem gdzieś w czarną przestrzeń tłumy.

– Zwykleś mawiać, że Adaś nakarmił nas wyłącznie obrzydliwą bujdą – odrzekł Lechoń z przedziwną melancholią w głosie. Najgłębsza ze zmarszczek na jego czole wykrzywiła się tak bardzo, że zdawało się to wręcz bolesne.

– Wstyd się przyznać, ale całkiem to ładne i...

Słowa poety zespoliły się z hukiem rozbijanego szkła. Wszyscy troje jednocześnie spojrzeli w kierunku odgłosu.

Przy sąsiednim stoliku na przedramionach podpierał się rachityczny, czarnowłosy, młody mężczyzna z pokaleczonymi dłońmi. Ze skóry chłopaka wystawały kawałki potłuczonego szkła. Dyszał ciężko. Nie z bólu. Ten był chyba najmniejszym z jego zmartwień.

¹ A. Mickiewicz, *Gdy tu mój trup...*

Z wyrazem dzikiego tryumfu w niebieskich oczach odchodził od niego właśnie wysoki, blady chłopak ze szlachetnie zarysowaną szczęką i w doskonale skrojonym garniturze.

Filip Czekalski. Oczywiście...

*

1937

Siedzą przy stole. Marianna stuka widelcem po talerzu. Nic nie przejdzie jej przez gardło. Nie, kiedy ojciec tak zerka i tylko czeka, aż ona wreszcie coś powie. Aż się uśmiechnie najładniej, jak potrafi. Bo tylko do tego się według niego jakkolwiek może nadać. Matka wbija w nią wściekle oczy, które wężerają się w czaszkę Marie. Jak głodny kornik.

A ona patrzy przed siebie. Patrzy w okno. Bo na Filipa nie może. Nie może, bo gdyby to zrobiła, to już by jej wepchnęli pierścionek zaręczynowy na palec i rozesłali zaproszenia po całej Polsce. Filip jest wysoki i ma piękne dłonie, jak na szlachetnie urodzonego przystało. To są jedyne rzeczy, które interesują w nim Mariannę. Na tym walory się kończą. Filip tymi pięknymi dłońmi lubi czasem komuś przypieprzyć. A najlepiej Żydom. Ale czy to jakiś problem dla Roszkowskich? Nie. Gdzieżby.

Bo Filip Czekalski jest zaangażowany politycznie. I to po słusznej prawej polskiej stronie. To go czyni ideałem. Co prawda bardziej dla ojca niż dla Marianny, lecz to nikogo przy tym stole nie interesuje. Filip studiuje prawo i ma niczego sobie twarz. To go czyni ideałem. Co prawda jest to wyłącznie zdanie matki, lecz to nikogo przy tym stole nie interesuje. Filip ma pieniądze. Dużo. I to akurat wszystkich przy tym stole, poza Marianną, interesuje.

Marie nie ma z nim o czym rozmawiać, bo poglądy na świat rozjeżdżają się im w zupełnie innych kierunkach. Wchodzą w kolizję. To Filipowi wcale nie przeszkadza. Bo Roszkowski jest kimś, a Marianna jest piękna. To ważne. To wystarcza.

Filip chciałby być chyba bardziej synem Stanisława niż narzeczonym Marianny. I Stanisław zdecydowanie wolałby jego jako dziecko. Bo taka córka, jaką ma, to katastrofa. Piękna życiowa katastrofa...

*

Filip Czekalski tydzień wcześniej próbował się z Marianną tutaj całować. Już prawie miał jej usta. Ale jakoś mu nie wyszło. Już się zdawało, że będzie miał Roszkowskiego za teścia, a tu taki pech. Marie delikatnie odepchnęła go wtedy palcem. Poprawiła mu krawat. Uśmiechnęła się słodko. Wybrała koniak zamiast jego warg. Straszliwie go to rozsierdziło. Bo on już przecież zaplanował tę noc inaczej. Ten krawat to się powinien rozwiązywać, a nie zaciskać.

Leon i Karolina mówili, że kogoś podobno w odwecie za to pobił. Oczywiście także obyło się bez konsekwencji. Bo Filip był bogaty i miał piękną twarz. A pięknym ludziom wszystko się zawsze wybacza.

Czekalski przystanął niespodziewanie obok stołu poetów. Tuż przy Mariannie. Tak blisko, że poczuła na sobie jego sapiący oddech. Śmierdział wodą kolońską marki Warszawianka, gdyż był patriotą. Zionął koniakiem. Tym, którym tydzień temu usiłował ją poić. Na nic mu się zdały te konkury. Bo Marie miała mocną sarmacką głowę i jeszcze silną wolę. Teraz przejechał dłonią po jej włosach. Złapał ją w tali. Sunął dłonią po jej biodrze, łapiąc za ścieg przy falbanie sukienki.

Lechoń wstał i zerknął na niego ostrzegawczo. Filip przejechał językiem po zębach, jakby się chciał nażreć tego popłochu. Spojrzał prosto na ciemne znamię Tuwima i zacisnął pięść. Jego szlachetne rysy wykrzywił obrzydliwy grymas. Splunął prosto w twarz Lechonia. Marie drgnęła.

– Co jest, Roszkowska? – syknął. – Mnie nie chcesz? Ale puszczać się z Żydami to już w porządku?

Filip nie czekał na odpowiedź. Puścił ją. Wyszedł z kawiarni. Huknął drzwiami tak, że zadrżały w nich małe witraże.

A później wstrzymany oddech dziesiątek osób na nowo powrócił do normy. Niewinny incydent podduszenia kelnera nigdy nie miał miejsca. Obrzydliwych dłoni pełzających po biodrze Marianny nikt nie widział. Ślina na twarzy Lechonia okazała się tylko przywidzeniem. Czekalski był zbyt piękny. On nie mógł zrobić żadnego świństwa. Absolutnie.

ROZDZIAŁ 1.

Kurki z gazem

Październik 1941

Victor

Dłoń na kurku z gazem kładzie się w określonym i zazwyczaj bardzo konkretnym celu zależnym od tego, jakie akurat masz w życiu priorytety. Bo zwyczajny, spokojny człowiek robi to po to, żeby dla przykładu zupa na jego stole była ciepła, a herbata odpowiednio zaparzona. Z kolei niezwykajny i rozklekotany – by szurnąć główką zapałki po brzegu pudełeczka i się pobawić w Hamleta, którego już nuży ciągłe dławienie się pytaniami, więc rzeczowo stawia na „nie być”.

Victor Giroud stał na dachu warszawskiej kamienicy i szczerze się zastanawiał, kiedy stał się człowiekiem, który nad kurkami z gazem ma pragnienia niezwykajne i rozklekotane.

Czy może był to dzień, w którym mama spakowała walizki i wróciła z nimi do domu, który nigdy nie był domem? Czy może wywołała to żeliwna, secesyjna barierka w domu rodzinnym? Czy może to suchy jak czerstwy chleb język ojczysty, którym mu ojciec zakneblował gardło? Czy może to zaskakująco wytrzymały sznureczek jutowy, spleciony ze skaucką zręcznością, którym go kiedyś koledzy przywiązali do drzewa? Czy może to była bielutka jak rzeński grudniowy śnieg kokaina, splot wilgotnych ud zaciśniętych wokół bioder i tanie, cierpkie wino? Czy może to był dzień, kiedy mu popakowali do bawełnianych worków wszystkie obrazy, nawet te, na których jeszcze błyszczała śliska, oleista wilgoć świeżo położonej farby? Czy może to smród hiszpańskiego kwietniowego wiatru, który wywołuje przeciąg trzaskający szybami życia i przewiewa kości na resztę dni?

Tak sobie stał. Smagany zimnym, jesiennym, polskim wiatrem. Z papierosem między zębami. Z szeleszczącym kolejnym atakiem kaszlu.

Z wtuloną w serce Adelą. Z tymi wszystkimi myślami huczącymi w głowie jak nowiutka szczekaczka.

I wiedział, że choćby chciał, to nie może sobie po hamletowsku wybierać niebycia. Był odpowiedzialnym człowiekiem.

– Powiedz mi, jak to jest, że my się zawsze musimy wspólnie władować w jakiś absolutny syf? – mruknął zrezygnowany, wspierając brodę na czubku jej głowy. – Przecież Gérard by nas zatłukł.

– Ja tam nie wiem, kto miał zawsze głupsze pomysły. Mnie się zdaje, że Gér nas jednak przebił wielokrotnie – szepnęła, przecierając wierzchem dłoni łzę.

– Powinniśmy zejść z dachu.

– Dlaczego? – Adela odsunęła się nieco i podniosła zdziwione spojrzenie. – Przecież my zawsze wszystko ustalamy na dachu.

– I może dlatego zawsze wszystkie nasze ustalenia szlag trafia, Angry? Nie zastanowiło cię to nigdy?

ROZDZIAŁ 2.

Klik. Klik. Klik

Październik 1941

Marianna

Stanisława Roszkowskiego rodzina nie widziała od lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Utknął w Londynie. Ponoć. Tak mówiono w całej Warszawie. Że ponoć utknął. Marianna chyba średnio w to wierzyła. A w zasadzie wcale.

Ojciec oznajmił listownie w sierpniu, że Gustaw, jedyny syn, dołącza do niego w Londynie. Chłopak miał tylko piętnaście lat, więc jemu należała się przyszłość. Mariannie nie. Bo ona miała wtedy już dwadzieścia i jej miejsce było w kraju. W Polsce ogarniętej wizją wojny. Bezpieczne życie nie przypadło jej w posagu. Żadnych ucieczek. O nich mógł zdecydować mąż. A ten się nie pojawiał.

Matka wepchnęła Gustka do pociągu. Wywieźli go. Zabrali jedyną osobę, dla której Marianna coś chyba znaczyła. Brat w odwecie postanowił już nigdy do nikogo się nie odezwać. Postanowienia dotrzymał. Przepadł na dobre. A wraz z nim wszystko to, co kiedyś można było mimo wszystko nazywać rodziną.

Z Celiną Roszkowską już nie dało się normalnie rozmawiać. Zdławiona strachem przykleiła się do fotela w błękitnym salonie jak ćma do żarówki. Liczyła, ile razy wskazówka zegara drgnie od początku do niewiadomego końca tego szaleństwa. Marianną się nie interesowała. Nigdy specjalnie nie musiała się o nią martwić. Jej córka miewała swoje humory, ale raczej nieszkodliwe. Kilka razy zachowała się nieostrożnie, ale bez większych dramatów. Nie lubiła salonowego życia, ale kto lubił? Celina nie wiedziała, co Marianna robi, bo córka zawsze należała tylko do ojca, a ten pozbył się balastu.

Czy Roszkowska kochała córkę? Pewnie jakoś tak. Ale dziwną, nie-obecną miłością. Taką, na którą trzeba było uważać. Która się wiecznie wyczerpywała. Którą trzeba było wyżebrać z czołem przy posadzce. Którą wydzielano jak ochłapy.

Bo dla Roszkowskiej liczył się tylko zegar. I czas.

Ile do końca? Ile to jeszcze potrwa? Ile będziemy musieli czekać?

Ile, ile, ile?

*

Marianna zamknęła drzwi w mieszkaniu na klucz. Pamiętała, żeby przekręcić dwa razy. Gdy została sama, zdawało się jej, że ten dźwięk zatraskującej się walizki będzie jej tak klikał w głowie do końca świata.

*

1941

Celina

– Mamo, proszę cię... – Z gardła córki wypelza szept. Ma wrażenie, że coś tam utknęło. Że nie chce przejść. Jak kawałek drewnienka wetknięty w dziurkę od klucza.

– Marianno, postanowione – rzuca Celina beznamiętnie.

Chodzi po sypialni. Przegląda jeszcze wszystko w obawie, że czegoś zapomniata. Ma rozbiegane oczy, które jakby rozlażyły się w szwach. Marianna obraca się za nią w tę i z powrotem. Czepia się jej cienia. Wzdryga się wraz z każdą kolejną rzeczą, którą wrzuca do walizki Celina udająca, że tego nie widzi. Dłonie kobiecie nie drżą. Nie jest przerażona. Ucieka po tych wszystkich latach. Nareszcie.

– Czemu mnie nie zabierzesz? Czemu ja nie mogę jechać z tobą? – Głos dziewczyny przypomina pękającą strunę skrzypiec.

Celina zerka na nią przez małą chwilę. Albo nie. Wcale nie na nią. Patrzy na coś, co miało być córką z marzeń, ale się nie udało. Nie zdołało się tego pokochać taką miłością, jaką się powinno. Bo dzieci nie wolno rozliczać w rachunku skradzionych snów. A Celina widzi tylko mrok tej dziewczyny nieopatrającej płacić swoich długów. Tych, które zaciągnęła życiem zbudowanym na gruzach jej własnej młodości.

Marianna ma oczy ojca, który ich porzucił. Ma oczy pięknego i mądrego Stanisława, który w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku zatrzaskał Celinę w ścianach tego domu, wsunąwszy jej na palec złotą obrączkę. A później zabronił się odzywać, gdy nie jest pytana. Który spłodził sobie córkę w euforii polskiej niepodległości. Który nadał córce wielkie rewolucyjne imię na cześć wolności. Który ukradł Celinie marzenia tym pięknym ciężącym dzieckiem. I po dziś dzień Marianna tak się taszczy. Nie mieści się w walizce. A Stanisław ma nowy dom. I nową kobietę. I nikt o tym, poza Celiną, nie wie. I nigdy nikt się nie dowie. Bo i po co?

– Poradzisz sobie, Marianno. Filip na ciebie tu czeka. Tylko rozegraj mądrze tę partię. Bez małżeństwa nie dostaniesz od ojca ani grosza. Doskonale o tym wiesz. On przekazuje pieniądze jedynie w męskie ręce.

Muska delikatną dłonią policzek córki. Dziwi się, że nie ma tam łez. Ale Marianna nie umie płakać. Nigdy nie chciały płynąć jej łzy. Nawet gdy była mała. To zawsze było bez sensu.

Celina nie wie, że córka jej się kruszy. Rozpada. Stanisława też żadna z nich nie obchodziła, kiedy spieszył przed wojną do tej swojej londyńskiej kurwy. On się nie tłumaczył. Celina też nie musi.

Zatrzaśki w walizce klikają.

*

I świat jej tak już teraz klikał.

Klik. Klik. Klik...

ROZDZIAŁ 3.

Coś nieprzeciętnie ocalającego

Marianna

Nie mogli liczyć już na mahoniowe ławy sali uniwersytetu, na książki z biblioteki i w ogóle na nic już chyba nie można było liczyć. Mariannie oddech zaczął niebezpiecznie rzeźzić od tanich papierosów. Przykleiły jej się do rąk.

Siedzieli na podłodze. Zawsze na podłodze. Oparci o dziewiętnastowieczny kredens. Profesor Jaworowicz stąpał po parkiecie, a szyby w tym artefakcie przeszłości niebezpiecznie drgały im nad głowami.

I tak jak te szyby profesorskiego kredensu, tak i jej życie od lat trzęsło się w posadach. Osiemdziesięcioletni, potężny jak dąb profesor prędzej położyłby się do trumny, niż przez jakąś kolejną głupią wojnę zaprzestał opowieści o zawłościach polskiej literatury renesansowej. No więc stąpał niewzruszenie.

W każdy czwartek spotykali się przy Kresowej, siadali pod kredensem z drżącymi szybami. Drżeli równie mocno jak one. Czy czytając, czy słuchając, czy pisząc... Drżeli – z przerażenia, wściekłości, niezgody i nienawiści.

Bo od zachodu Niemcy, a od wschodu Rosjanie wtargnęli w ich życia i zabrali wszystko. Bez zbędnych ceregieli. Spoglądali im w oczy – płosząc ich codziennością, odbierając matki, wysyłając na koniec świata braci, gubiąc ojców. Śmiały się oczy Niemcom opakowanym w swastyki, gdy stukając butami, wałnęli w drzwi uniwersytetu, by im go zamknąć. Śmiały się im oczy, gdy wyrzucili z mieszkania rodzinę Karoliny. Bo było jasne i z widokiem na Ogród Saski.

W państwowych, polskobrzmiących odezwach do narodu wrzeszczały hasła o konieczności przeciwstawienia się wrogowi w imię pradawnej miłości do ojczyzny matki. Szeptano pomiędzy sobą coraz namiętniej o ukrytym pod deską w salonie czy wykradzionym w burdelu parabellum.

Chłopakom, zwłaszcza Leonowi Koseckiemu, Filipowi Czekalskiemu i Julianowi Korzelskiemu, kręciło się w głowie na myśl o visach ukrytych w wydrążonych przez ojców ścianach. Dziewczęta po zmroku w ogrodach pod wierzbami cięły na bandaże białe koszule nocne i wykradzione matkom prześcieradła. Karolina też. Marzyły, by w uniesieniu owijać nimi zranionych mężczyzn. Tak czytały w poezji. Tak było pięknie. W końcu bliskość krwi, pojenie spierzchłych ust i okładanie lodem rozpalonych gorączką czoł mogło wywołać uczucie, spoić ich dłonie i dać wspólną przyszłość. Całowały swoich chłopców-żołnierzyków. Oddawały im się pospiesznie pod osłoną nocy. Były dumne z daru swoich ciał dla narodu. Marianna czuła tylko zatrzask na sercu, gdy o tym myślała. Wielki miazdzący zatrzask.

Polska Marianny była inna. Była kleptomanką. Ideą, którą знаła z literatury. Polska-Idea okazywała się zachłanną ofiarnicą, która chciała, by ją wielbiono. Która może i przypominała matkę. Ale matkę chorą. Taką, która ci nie da zapomnieć, że musisz się nią zaopiekować, bo przecież dała ci życie. Więc wielb. Więc czcij. Więc dziękuj.

Marianna nienawidziła Polski-Idei. A jeszcze bardziej nienawidziła siebie za tę nienawiść, o której wiedziała, że jest niebezpieczna i zła. I że wszyscy nią przez to gardzą.

„Cóż to za okrutna dola nie być do niczego przywiązany, niczego nie pragnąć, a tak wiele rozumieć...”²

*

1940

– „A wszakże niech się stanie, nie nasza wola, ale Twoja”³. – Karolina kończy czytać. Po sali mknie pomruk zachwytu. Nad kunsztem. Nad górnołotnością. Nad tym świetlistym upragnionym jutrem, skrytym w cieniu.

– Co za duma... – prychna pod nosem Marianna.

– A tobie co znowu, Roszkowska? Jak zwykle masz do dodania swoje trzy grosze? – syczy Korzelski, podnosząc głowę znad kartki. – Tobie się już całkiem od tych lewackich dyrdymałtów pomieszało. Ewidentnie chodzi wieszczowi

² B. Prus, *Lalka*.

³ A. Mickiewicz, *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego*.

o to, że musimy jako naród wytrwać, bo mamy na swoich barkach ciężar zbawczej misji. To nasza gehenna! – Każde swoje słowo wzmacnia rytmicznym uderzeniem dłonią o blat. Filiżanki dzwonią o spodki. Wszystkie.

Staniszewski się zatrzymuje. Zawsze krąży po salonie pomiędzy nimi od niechcenia. Ale tego musi słuchać w spokoju. Ma w zwyczaju przystawać, kiedy odzywa się Marianna. A już zwłaszcza wtedy, kiedy jest gotowa do kłótni. Marie czuje go za plecami. Jak cień.

– Nie w tym rzecz, Korzelski. – Marianna nie zamierza zaszczycać kolegi spojrzaniem.

– A w czym? Może mnie oświeć, mądralo – cedzi przez zęby. Julian Korzelski ma chudą twarz i czasami dziwnie przypomina charta mogącego w każdej chwili wyrwać się w pogoni za zwierzyną. – Choć nie wiem, jak ty miałabyś pojąć ideę posłannictwa. Ja dla przykładu...

– Oczywiście. – Nie daje mu skończyć tej napuszonej bujdy. – Bo któż inny może mieć tak wzniósłe przekonanie o sobie samym? Takiś święty, a nie widzisz nic świętokradczego w uznaniu, że nam niewiele do samego Chrystusa?

– To źle? Ty nie jesteś zdolna dostrzec niczego chwalebnego w honorze? W poświęceniu?

– Ty się, Korzelski, może nie wczytałeś dokładnie. Tu nic o honorze nie ma. – Zaciska palce na kolanach. – Nieźle mi idzie składanie literek i jedyne, co widzę, to przekonanie, że gdy mnie zabiją, to uczynię światu wielką przysługę. Nie wiem, co w tym honorowego. Ja mam w sobie, zdaje się, na tyle pokory, że przez myśl by mi nie przyszło, żeby się porównywać do Boga, kiedy wszystko dosłownie leci mi na łeb.

– Chodzi o zbawczą ofiarę, gdy ta jest konieczna! – Julian niemal zrywa się z siedzenia. Filiżanki dygoczą. Staniszewski podnosi rękę. Korzelski siada posłusznie. W salonie cichnie.

– A cóż ty możesz swoją ofiarą, Korzelski? Z tego, co pamiętam, twój ojciec jest bankierem, a nie stwórcą wszechmogącym.

– Naród dźwiga na sobie ciężar!

– Jaki ciężar? Jak naród, który ledwie stoi, może cokolwiek trzymać? Nawet nie stoi. Kryje się pod ziemią. – Marie ma spokojny głos. Nigdy nie krzyczy. Wściekle oczy Korzelskiego wwiercają się w jej głowę. Gdyby tylko nie siedziała po przeciwnej stronie stołu, pewnie by ku niej skoczył. Ale ona ma za sobą jeszcze Staniszewskiego. Nie wypada.

– Spokój – zarządza wreszcie profesor z rozbawioną miną. – Ja panu dam radę, Korzelski. Zanim się pan wypowie, to proszę najpierw się dwa razy zastanowić. Albo może z dziesięć. Później może pan podjąć pokraczną próbę gonienia Roszkowskiej w poziomie intelektu. Jak na razie radziłbym nieco przystopować, bo tylko pan wrzeszczy w pół drogi i grzęźnie we własnych słowach. – Patrzy na Mariannę tak, jakby chciał jej powiedzieć, że nikomu nigdy nie pozwoli jej obrazić. I dotyka jej pleców. I Marianna nie wie, czy jej się zdaje, ale chyba ją muska palcami. Chyba na pewno. Robi to tak, żeby nikt nie widział. I też tak, żeby ona to wyraźnie poczuła.

– Ale panie profesorze, ona...

– Ona co? – Staniszewski gromi go spojrzeniem swoich lodowatych oczu. Jak śmiecia. – Ona jedna tu myśli.

– I za takie właśnie myślenie wszyscy jeszcze nią wzgardzą. – Korzelski odwraca głowę. Już mu się nawet nie chce na nich patrzeć.

Tylko ta jego ręka znowu uderza w stół. A filiżanki znowu się trzęsą.

*

I tak jak wtedy Korzelskiego ręka, tak teraz Jaworowicza kroki. I tak jak tamte porcelanowe filiżanki, tak teraz te kredensowe szyby. Wszystko się trzęsie. I stuka.

– Panie profesorze, muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Pozwoli pan, żebym na chwilę wyszła? – Jaworowicz nawet nie zareagował.

*

Cegły śmierdziały pleśnią i stęchłą przegniłych, zwilgotniałych murów. Marianna, łapiąc się cieni, osunęła się na schody w zaułku placu przed kamienicą.

Wszystko w środku – serce, płuca, krtań, żołądek i cokolwiek jeszcze tam w sobie miała – wszystko to spajał jakiś nieprzejeđnany splot. Jak postrzępiony, cienki jutowy sznurek, który się wrzyna w miękkie tkanki. Niby takie nic. A takie wszystko.

Ten splot nie był niczym konkretnym. Niczym, co potrafiłaby nazwać. Wraciał tak sobie nieproszony od dwóch lat. Powoli. Bezczelnie. I się rozsiadał jak ten jeden wydziedziczony, pyskаты członek rodziny, którego nikt nie lubi. Nie wiadomo, jak go wyprosić. Bo skubany jest silny. I jak się zaprze, to koniec. Nie ruszysz.

Oddychać...

Przycisnęła czoło do zimnych cegieł. Spróbowała nabrać powietrza. I nic. Dech zaparł się na wewnętrznym murze. Czy chciała pomocy? Broń Boże. Zabiłaby każdego, kto by spróbował się do niej przebić. Wsparła dłoń na ścianie. Opuszki przylepiły się do muru od paniki śliskiej jak ślina.

Nie duś się. Nic się przecież nie stało. Nigdy się nic nie dzieje.

Usłyszała kroki. Podniosła suche oczy. Zza rogu przecinającej się z Kresową ulicy przemknęły w nicość nocy dwa cienie. Zdecydowanie zbyt szybko, zdecydowanie zbyt pewnie. Jeden z nich odrzucił pod mur coś szklanego. Chrzęst zachrobotał w ciszy.

Ucisk w jej piersi niespodziewanie zelżał. Podeszła ostrożnie do muru. Przykucnęła. Świeża krew ściekła po potłuczonej butelce. Rozejrzała się szybko.

I co teraz? Jak to komukolwiek wytłumaczysz? Co robisz sama tuż przed godziną policyjną w środku miasta? Czemu się krztusisz pod jakimś murem? A może pilaś? I czyja to krew? Co się nie odzywasz? No? Co zrobiłaś?

Trudnej jednak byłoby komukolwiek wyjaśnić to, co rzeczywiście stało się później.

Wypełzył z mroku prawie na kolanach. Szklanych oczu nie mogłaby pomylić, ale w mroku zamglonej październikowej nocy widziała tylko polepione krwią rzęsy.

– Roszkowska? – wydyszał chrapliwie Gabriel Staniszewski, chwytając się. Prawą ręką złapał za jej ramię, by nie runąć na bruk. Żrenice miał wielkie i błędne. Metaliczny zapach wypełnił powietrze. – Co ty tu...? Nie możesz tu być. Nie mogą cię widzieć. Nie chcę, żebyś... – charczał bez składu, usiłując utrzymać się w pionie.

– Nie zostawię pana tak przecież! – Spróbowała podeprzeć jego ciało. Jakies chwiejne. Ciężkie.

– Zabieraj się stąd. Już. To niebezpieczne!

– Jestem cała w pańskiej krwi. Co pan sobie wyobraża? Że jak ja to wytłumaczę komukolwiek?

– Ale...

– Idę z panem! – Wsparła go na sobie. Zadrżały jej kolana. Z nosa kapła mu krew na jej przerzucony przez ramię warkocz.

*

– Pani czyta Pounda w oryginale? Skąd ma pani tomy? – pyta, opierając się swobodnie o stół. Jest piękny. Jak rzeźba. Wysoki. Przystojny. Pełen klasy. Marianna czuje, że jej przy nim słabo. Od dwóch lat jej słabo. Chyba niezbyt zdrowy taki wieczny zawrót...

– Mój ojciec bywał tu i tam...

– Pani tekst okazał się... Cóż, muszę przyznać, że rzadko coś mnie tak zaskakuje. – Niedbale podwija rękawy koszuli. – Ma pani coś... coś takiego wyjątkowo odważnego, ale wrażliwego w swoim sposobie analizy, choć bez przesadnego patosu czy trywialnej małostkowości. Uwielbiam pani metafory, Roszkowska.

– Spodziewał się pan czegoś... – Szybko rzuca okiem na stojących w oddali kolegów, którym jej obecność na zajęciach ciągle jeszcze zaburza poczucie równowagi w świecie. Na Korzelskiego. Ten, gdyby tylko mógł, naplułby jej w twarz. – ...Miałkiego? – Nie powinna tak mówić. Ale powiedziała.

– Nie spodziewałem się czegoś tak dobrego. – Uśmiecha się. Staniszewski ma oczy jak wazon z ciemnego szkła, przez który przebija się światło. – A od pani zawsze spodziewam się tylko tych najlepszych rzeczy. Więc znowu mnie pani zaskoczyła. Już mnie to nie powinno dziwić. – Marianna nie jest pewna, ale zdaje jej się, że on puścił do niej oko. A to już zdecydowanie nie na miejscu. I to ją zachwyca. On wie.

Przyjemne ciepło rozlewa się jej gdzieś pod mostkiem w stronę brzucha, niżej. I nie oznacza wcale ciepła dumy z pochwały. Marianna wie, że nie powinna tak głupio reagować. No i co z tego, że wie?

– Pani pisze? Poza zajęciami? – Kurz tańczy w smudze światła. Staniszewski przygląda się jej nieprzyzwoicie długo.

– Tylko eseje. Zdecydowanie więcej czytam. I komentuję. Pracuję z pewnym poetą...

– Niech pani mi przyniesie, Marianno, te eseje. To może być... – zawieszając głos, ale ani na chwilę nie przestaje obserwować jej zaniepokojenia. – To mogłoby być coś nieprzeciętnie ocalającego... – Z jakiegoś powodu Marianna domyśla się, że nie mówi wcale o jej tekstach. Bo patrzy jej na usta. Bardzo długo.

*

– To spotkanie to również coś nieprzeciętnie ocalającego – mruknął, ledwo utrzymując się w pionie. – Czyż nie, Marianno? – Spojrzała na niego ostrożnie. – Znowu mnie pani ratuje.

– Nie przypominam sobie, żebym wcześniej znalazła pana w takim stanie w środku Warszawy...

– Te pani eseje były tak dobre. One tamtego wieczoru... One były zachwycające... – Przystanął na chwilę. – Ty jesteś zachwycająca.

SPIS TREŚCI

I

Prolog. Światy, które rozjeżdżają się w przeciwnych kierunkach	7
Rozdział 1. Kurki z gazem	13
Rozdział 2. Klik. Klik. Klik	15
Rozdział 3. Coś nieprzeciętnie ocalającego	18
Rozdział 4. Siódma świeca w menorze	25
Rozdział 5. <i>Dzień czarniejszy i pustszy od nocy</i>	30
Rozdział 6. Osobiste małe całopalenie	33
Rozdział 7. <i>Nie rozumiem. Ja przecież pani nie zawadzę</i>	36
Rozdział 8. Najpiękniejsza kawiarnia w całej Warszawie	41
Rozdział 9. <i>A Słowo Ciałem się stało i zamieszkało między nami...</i>	50
Rozdział 10. <i>Farewell</i> , miłości rodzinna, <i>farewell</i>	53
Rozdział 11. <i>Ach, mówiłbym ci o nocach zbitych gradem jak ptaki</i>	57
Rozdział 12. Rozchwiana arystokratka bawiąca się w wojenkę	60
Rozdział 13. Polowanie	67
Rozdział 14. Pieprzony faszystowski książę	72
Rozdział 15. Strażnik aryjskiej moralności Victor Kastner	82
Rozdział 16. <i>Dopóki na nią patrzę, z miejsca się nie ruszy</i>	87
Rozdział 17. Jakie czasy, taki Kmicic	93
Rozdział 18. <i>Takie bywało w domu Sędziego śniadanie</i>	97
Rozdział 19. Gra w trzy pytania	99
Rozdział 20. <i>Bywaj, dziewczę, zdrowe, Ojczyzna mnie woła</i>	109
Rozdział 21. Dom samotnej matki	114
Rozdział 22. Oczywiście gorsze niż u Cabanela	121
Rozdział 23. Trafił ci się jak ślepej kurze ziarno	124

II

Rozdział 24. Dźwięk, który wydaje wieczko, kiedy otwiera się nową puszkę farby	133
Rozdział 25. Liber abaci 13 15	143
Rozdział 26. Świat jak u van Gogha	150
Rozdział 27. <i>Wstrzykniesz się do wariatkowa</i>	158
Rozdział 28. Oryginalne imię jak na polskie realia	169
Rozdział 29. Później ich niemal nie ma. Ale wiesz, że były. Wiesz to	172
Rozdział 30. <i>Rats' feet over broken glass</i>	176
Rozdział 31. Familie von Kastner	181
Rozdział 32. Masz wyglądać tak, żeby się wszyscy posrali z zazdrości	193
Rozdział 33. Nie gustuję w wariatkach	198

III

Rozdział 34. Skończyły się żarty, zaczęły się schody	209
Rozdział 35. Psychofizyczny dylemat Kartezjusza	217
Rozdział 36. Głodnego człowieka łatwo można sobie wziąć	230
Rozdział 37. <i>Totenkopf</i>	232
Rozdział 38. Dumny jesteś?	240
Rozdział 39. Zawał. Zapaść. Arytmia. Migotanie komór	243
Rozdział 40. <i>Ich bin ein Teil von jener Kraft...</i>	252
Rozdział 41. Skretyniałe teorie impresjonistów	258
Rozdział 42. Był najlepszym, jakiego znałem	263
Rozdział 43. Szwajcarski zegarek	270
Rozdział 44. <i>All is Quiet in Victor's Life</i>	272
Rozdział 45. Nigdy się nie wstydz, że jesteś kobietą	279
Rozdział 46. Gdyby chodziło o prostytutkę... ..	283
Rozdział 47. Ostatnie słowa	285

Rozdział 48. Chaotyczna perfekcja niejasności	293
Rozdział 49. Niedopowiedziane	296
Rozdział 50. <i>This is the way the world ends</i>	297

IV

Rozdział 51. Jakim miesiącem jest maj?	303
Rozdział 52. Cienista podmiotowość	308
Rozdział 53. Może zacznijmy od początku	314
Rozdział 54. <i>Gdzie ich nikt nie słyszy</i>	322
Rozdział 55. Znowu był biedniejszy o jedną markę	344
Rozdział 56. Strasznie u niego duszno w życiu, wiesz?	348
Rozdział 57. Niemcy wyrzucają śmieci	352
Rozdział 58. <i>Czy ją kochasz? Bardzo, mówię szczerze...</i>	355
Rozdział 59. To mój pierwszy raz	358
Rozdział 60. Herr Doktor Rathaus Krüger	365
Rozdział 61. <i>Aby był smutkiem człowieka dla człowieka</i>	367

V

Rozdział 62. <i>Liberté, égalité, fraternité ou la mort</i>	375
Rozdział 63. Jak dźwięk frontowego dzwonka	381
Rozdział 64. Chciałeś być taki sprytny	385
Rozdział 65. Nie powiem tego w żadnym języku świata	387
Rozdział 66. Jak tnie. Jak tnie. Jak tnie... ..	402
Rozdział 67. Kamyk, który uderza niepozornie w szybę	409
Rozdział 68. <i>Wierzymy w naszego Führera. Żyjemy dla naszego Führera. Umieramy za naszego Führera</i>	415
Rozdział 69. Nie ma jej... ..	421
Rozdział 70. Strasznie tu u państwa ciepło	425
Rozdział 71. Wystarczy mi całego życia wśród trupów	429
Rozdział 72. Tylko tyle sobą reprezentujesz	436

Rozdział 73. Niby nieczute niby nic	437
Rozdział 74. Nieodżałowana strata	441
Rozdział 75. To się w końcu stłucze	445
Rozdział 76. <i>Wiwat Listopad i Lipiec Paryski!</i>	447
Rozdział 77. Okruchy są do niczego	455

VI

Rozdział 78. To będzie twoja вина	461
Rozdział 79. Tato, pomożesz mi?	468
Rozdział 80. Będziesz miał kłopoty!	470
Rozdział 81. To będzie wielka rzecz!	474
Rozdział 82. Tylko mi okna zostawcie otwarte	482
Rozdział 83. <i>Tu stoje, skąd tak nagle odszedł</i>	488
Rozdział 84. Omedze robi się słabo	489
Rozdział 85. Masz prawdziwą terpentynę?	490
Rozdział 86. Są gorsze rzeczy w życiu niż samotność	492
Rozdział 87. <i>Przez pocałunki twoje Leta płynie</i>	499
Rozdział 88. Marianna Giroud – <i>Wielka improwizacja!</i>	504
Rozdział 89. Pomniki ze słów	511
Rozdział 90. <i>Nasłuchujesz oddechów jego w nocy głosach?</i>	516
Epilog. Ani twój Kastner. Ani mój Giroud	518
Słownik postaci	521
Obrazy wspomniane w powieści	527
Podziękowania	528
Playlista	531

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Marianna Roszkowska jest niesamowicie silna. Nie płacze. Nie krzyczy. Idzie przez życie odważnie, z podniesioną głową, gotowa samodzielnie stawić czoła wszelkim przeciwnościom. Nic i nikt jej nie złamie, nawet wojna, okupacja, strata, groza wszechobecnej śmierci, chyba że... pewnego dnia poczuje w gardle supeł i to, jak trudno jest po prostu być, oddychać.

Victor Giroud nie ma domu. Nie zamierza nigdy wracać do Monachium. Nie ma ojczyzny – Francuzem mu być nie wolno, Niemcem być nie chce. Nie ma też rodziny. Po matce i bracie pozostały mu tylko wspomnienia, a dla ojca są pewne granice miłości... Tej teoretycznie bezgranicznej. Victor żyje sam, bezpiecznie ukryty w kokonie własnych kłamstw. Jedyną prawdą w jego życiu jest jazgot dobiegający zza otwartych ku przeczłości okien.

Tych dwoje spotka się w okupowanej Warszawie. Przypadkiem poplączą się w więziach, które są niczym wojna: bez przyczyny, bez sensu, bez przyszłości. Więziach pierwszych. Więziach jedynych. Niewytłumaczalnych w żadnym z języków tego świata.



PAULINA CZERNEK-PASIERBEK

Jej absolutnie (nie)przydatną umiejętnością jest kolekcjonowanie w mózgu cytatów. Absolwentka filologii polskiej, nauczycielka, wykładowczyni i doktorantka. Finalistka konkursu im. Czesława Zgorzelskiego. Jej miłość do pisania rozpoczęła się w szkole podstawowej, kiedy z nudów stworzyła na ostatnich stronach zeszytu do polskiego scenariusz do jednej z ballad Mickiewicza. Fascynatka polskiej prozy współczesnej, Baczyńskiego, Skamandrytów, malarstwa i Taco Hemingwaya. Prywatnie żona Pana Męża i matka buldożki Coco. Aktywnie działa w bookmediach (@paulinaczernek_pasierbek).

Patroni medialni:



wydawnictwoploty.pl

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-289-2881-7



cena: 54,90 zł